

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II

38

Po długim wahaniu odłożył list na bok, wyjął z szuflady swój rękopis i zabrał się do pracy. Zapomniał, że się znajduje w Londynie, że to niedziela; zapomniał o wszystkim, z wyjątkiem tego, co czynił. Lecz wieczorem, przy samotnym obiedzie pragnienie wyjazdu powróciło, i chociaż sobie mówił, że za nim nie pójdzie, nie odpisał na list Nigla. Miał nedoręczne uczucie, że nie odpisując, pozostawia otwartą furkę do tej podróży.

I nigdy na ten list nie odpisał. Dzień przechodził po dniu. Pracował z niesłychaną energią. Wydawał się tak samo zainteresowany, tak samo oddany swoim pacjentom, jak zawsze. Lecz przez cały czas, kiedy siedział w konsultacyjnym gabinecie, kiedy słyszał rozwodzenia się nad symptomami, kiedy dawał rady i pisał recepty, bawił się w duchu myślą, że może na wiosnę zrobić sobie wakacje i pojedzie do Egiptu. Posiadał żywą wyobraźnię, którą zazwyczaj trzymał na wodzy, teraz puścił jej cugle. W najciemniejszych dniach wyobrażał sobie, że jest w ścieńcu. Patrząc na огоłocone drzewa w parku widział bujne palmy. Słyszał łagodny wietrzyk szumiący w ich liściach, mówiący mu o pustyni. Nigdy przedtem wyobraźnia nie sprawiała mu tyle przyjemności. Czy stał się znowu dzieckiem? Takby się zdawało. Gdyby pacjenci znali obecny stan człowieka, którego błagali o zdrowie! Lecz twarz jego nic nie zdradzała, i byli spokojni.

Minał luty.

Jeśli rzeczywiście miał zamiar udać się nad Nil, nie powinien zwlekać z wyjazdem. Czy miał ten zamiar? Tak długo bawił się tą podróżą w myśli, tak ją sobie wyobrażał, że zaczynał wmawiać w siebie, że powinien na tej przyjemności poprzestać. Mówił sobie nawet zwykle kłamstwo, że myśl o jakiejś rzeczy jest lepszą od niej samej, że gdyby zobaczył Egipt rzeczywiście, znalazłby go mniej pięknym, niż ten, który widywał w marzeniach. I postanowił, że pojedzie.

W dniu, w którym powziął to postanowienie, otrzymał od pacjentki list, którą wysłał na zimę nad Nil. Pisała z Luksoru szczegóły o swym zdrowiu, które czytał uważnie. Przy końcu listu wpadła na temat plotek, opisywała skandaliki w rozmaitych hotelach i kończyła następującym usłaniem:

„Ogromną sensację wywołało tutaj przybycie dahabijeh, Lonlii. Mówiono mi, że to najpiękniejsza łódź na Nilu i że wszyscy pragnęliby na niej płynąć. Lecz niema o tem mowy dla nikogo z nas. Lonlia jest przywiązana u zachodniego brzegu, po stronie Teb, i należy na czas sezonu do Armine'ów. Musi pan pamiętać, że Mrs. Armine była dawniej Mrs. Chepstow, i zupełnie niemożliwą. Teraz, kiedy powtórnie wyszła za mąż, myśli, że będzie przyjmowaną, lecz to się nigdy nie stanie. Naturalnie, gdyby miała szczęście zostać kiedyś Lady Harwich, mogłoby to być, tak wielkie położenie kazałoby ludziom inaczej się zapatrywać. Lecz niema o czem mówić, bliźnięta pobiły ją na głowę. Powiadają, że o mało nie oszalała z gniewu dowiedziawszy się o tem. Zdaje się, że nie powiedział jej o tem ani słowa przed małżeństwem. Mądry człowiek! Widocznie dobrze znał swoją Mrs. Chepstow. Niemniej jednak słyszałam, że jest zupełnie oddana swemu mężowi. Widziałam go na chwilę, któregoś dnia, jak szedł do królewskich grobów. Pomyślałam, że jest bardzo chory, taki dziwny kolor twarzy. Jej nie widziałam, mówią, że wygląda młodsza i piękniejsza niż kiedykolwiek w Londynie. Widocznie małżeństwo jej służy, a jemu przeciwnie i t. d.“

List ten nadszedł wieczorną pocztą i Isaacson czytał go po skończonej dziennej pracy. Kiedy skończył wyjął list Nigla, który zachował i zaczął porównywać. Nie było to potrzebne, gdyż słowa Nigla wyrwały mu się w pamięci. Widok tych obu listów obok siebie uczynił na nim nieprzyjemne wrażenie.

„Nigdy w życiu nie czułem się tak zdrowym“. „Wyglądał bardzo chory – taki dziwny kolor twarzy“.

Co się stało pomiędzy jednym listem, a drugim? Co wywołało tę zmianę?

Po kilku minutach Isaacson odłożył oba listy i z wolna zasunął szufladę biurka. Był już po obiedzie. Wieczór należał do niego. Przygotował swój nargilch i powiedział Henrykowi, żeby mu nie przeszkadzano.

Od owego wieczoru w jesieni, kiedy Nigel powiedział o Mrs. Chepstow „Mówi o wyjeździe do Egiptu na zimę“, Isaacson nie wziął do ręki długiej, podobnej do węża fajki. Tylko w chwilach kiedy chciał żywiołowość swego umysłu doprowadzić do najdalszych granic brał się do nargilch. Coś wschodniego w nim tkwiło, pobudzając do życia odziedziczone instynkty. Zakreślił elektryczne światła, usiadł w słabo oświetlonym płomieniem ognia pokoju, i uchwycił ciernikimi palcami długi, węzowaty cybuch nargilch. Wciągnął do płuc dym wyborowego tytoniu, zatrzymał go i wypuścił nosem.

Londyn spał, a on wciąż siedział. W błyszczących oczach odzwiercadlało się intensywne życie jego umysłu.

Wreszcie, późno w nocy powstał z fotelu. Zasiadł przy biurku i pracował do rana, pisząc do pacjentów, przeglądając rachunki, książeczki bankowe, pisząc do swego bankiera, do szpitali z którymi miał stosunki, czyniąc mnóstwo rzeczy, które mogłyby i w ciągu dnia zostać załatwione. A kiedy wreszcie usłyszał ruch w domu, oznajmijący, że służba już się zbudziła, przycisnął guzik dzwonka. Henryk ukazał się natychmiast starając się ukryć zdziwienie.

— Jak tylko biuro Cook'a na Piccadilly zostanie otwarte, poszlij tam ten list. Posłaniec powinien poczekać na odpowiedź.

— Dobrze, proszę pana.

— Te wszystkie inne pójdą pocztą.

— Tak, proszę pana.

— Powiedz Arturowi, żeby przygotował moją kąpiel.

— Tak, proszę pana.

— Doktor wstał.

— Będę przyjmował pacjentów dzisiaj. Jutro, a najdalej pojutrze opuszczę Londyn. Jadę na parę tygodni do Egiptu.

— Tak, proszę pana.

VII.

Isaacson nie zechciał wsiąść do omnibusu w Kairze, lecz pojechał do Sheppard Hotel powozem, zaprzężonym w parę siwych, chudych koni. Woźnicą był arab zeszepony ospą, w turbanie i europejskim ubraniu. Była mniej więcej trzecia po południu i tłumy snuły się po ulicach. Isaacson rozglądał się z ciekawością wkoło. Czuł się podnieconym. To był przedsmak jego wschodniego życia. Nigdy przedtem nie postawił nogi na swym „właściwym miejscu“. I już miał wrażenie, że jest u siebie. Widział białe domy z rosnącymi przed nimi palmami i wiedział, że w tych domach byłoby mu wygodnie. A ten tłum wschodnich ludzi z ciemnymi, śmiałymi, błyszczącymi, lub ciężkimi sennymi oczami; z oczami, płonącymi złotym blaskiem chciwości — ten tłum złotych, brązowych, czarnych twarzy, te delikatne wyraziste ręce z paznokciami zabarwionymi lunną; ten tłum gadaliwy, gestykulujący, którego oczy brały wszystko, a nic nie dawały — gdyby wysiadł teraz z powozu i odrzuciwszy europejski komfort ukrył się w tym tłumie, czy nie byłby po raz pierwszy w życiu samym sobą?

Kiedy zeszedł ze swego pokoju między czwartą a piątą na herbatę, orkiestra grała europejskie melodie. Postanowił tego jeszcze wieczoru poszukać w tubylczych dzielnicach jęczących, omdlewających dźwięków Wschodu.

— Taras naturalnie był zapelniony. Ludzie różnych namiętności otaczali Isaacsona siedząc przy stolikach, wchodząc i schodząc po schodach prowadzących z tarasu na ulicę.

Rozglądali się, gestykulowali, gawędzili przy ciągłym brzęku porcelany. Paniątki z długimi welonami przy kapeluszach jadły ciastka i chłodziły się lodami zabarwionymi na różowy, jasnozielony i migdałowy kolor. Starsze panie siedziały w bujających krzesłach napawając się ożywionym widokiem. Antykwaryusze kręcili się, rozmawiając, zaprzeczając, poirzając spalonymi od słońca pustyni palcami. Amerykańscy

alerzyści na wakacjach palili duże cygara i zapraszali przyjaciół z New-Yorku, Bostonu lub Washingtonu na obiad. Europejscy chłopcy elegancko ubrani, pełni życia i wesołości wchodzili i schodzili rozpowiadając swoje przygody. Ustawicznie zajeżdżały i odjeżdżały powozy, podczas, gdy chudy, wspaniale ubrany stary arab notował numery, ceny, w jakiejś księdze.

Lecz Meyer Isaacson patrzył tylko na wschodnich ludzi, idących hałaśliwą ulicą. Nie spojrział nawet ani razu uważnie na tłum turystów, żeby zobaczyć, czy niema wśród nich kogo ze swych znajomych, pacjentów, przyjaciół, lub nieprzyjaciół. Po chwili uwaga jego została zwróconą na zajeżdżający piękny faeton, zaprzężony w parę wspaniałych karych rysaków. Na przednim siedzeniu znajdował się Mahmud Barondi sam, w lekkim, popielatym garniturze, z turbanem na głowie. Za nim siedział szykowny angielski groom w liberyi. Faeton był czarny na czerwonych kołach. Srebro błyszczało na uprzęży. Lecz tylko Barondi niezwykłą powierzchownością, śmiałym a zarazem obojętnym wyrazem twarzy, zręcznością w powożeniu pociągał wszystkich oczy, i zatrzymał na sobie wzrok Isaacsona. Wsiadł konie przed schodami, groom natychmiast zeskoczył, Barondi oddał mu lejce i wszedł na taras. Stał rozglądając się spokojnie wkoło; zobaczywszy znajome francuskie towarzysstwo, podniósł rękę do turbanu i przyłączył się do niego. Został powitany z widoczną radością. Dwie znajdujące się w tem towarzystwie panie, ślicznie ubrane paryżanki zrobiły mu miejsce między sobą. Kiedy siadł uśmiechnięty, Isaacson zauważył jego zrosnięte brwi i wspaniałą szyję.

— Kochany Isaacsonie! czy to możliwe? Mógłbym się przedziej spodziewać, że zobaczę Slinksa na Clereland Square!

Wysoki, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna z marzaczami, inteligentnymi oczami stał przed nim i po serdecznym uściśnieniu ręki siadł obok.

— Starnworth, jesteś pan jednym z małej liczby ludzi — mógłbym raczej powiedzieć jedynym — którego rad widzę w tej chwili. Skąd pan wracasz, lub dokąd się wybierasz? Nie mogę przypuścić, że pozostajesz w Kairze.

— Nie. Byłem w Syrii, wracam właśnie z karawaną z Damaszku. Owszem, proszę o herbatę. Jutro, lub pojutrze wyruszam znowu z Mena-House na małą wycieczkę w pustynię.

— Mała! — Na wiele dni?

— Oh, nie wiem — rzekł niedbale nowoprzybyły. — Trzy tygodnie w jedną stronę, trzy w drugą, przypuszczam — chcę zwiedzić oazę, na której znajdują się jakieś nadzwyczajne ruiny. Lecz dlaczego pan jest tutaj? Co spowodowało, że pan opuścił swych niezliczonych pacjentów?

— Kaprys. — Odrzekł Isaacson po lekkim wahaniu.

— Tam do dyabła! Czy mogą lekarze, używający takiej sławy pozwalać sobie na kaprysy?

Młody ten człowiek, Bazyli Starnworth był angielskim koczownikiem, który lata całe spędził na Złotym Wschodzie; mówił po arabsku wszystkimi dyalektami, czuł się swobodniejszym pośród beduinów niż wśród swych własnych braci i był kopalnią wiadomości o ludach Syrii, Egiptu, całej północnej Afryki — o ich namiętnościach, zwyczajach przesadach i różnych sposobach życia. Isaacson wyleczył go z febry, której nabawił się w jednej ze swych podróży. Tego wieczoru zjedli razem obiad, po którym Starnworth zabrał Isaacsona dla zwiedzenia tubylczej dzielnicy Kairu.

Było blisko jedenastej, kiedy Isaacson znalazł się w małej ciemnej kawiarni, ukrytej w jakimś zaułku Kairu. Dostali się do niej krętymi uliczkami — uliczkami, po których snuły się wymalowane damy, oświecone nikłym światłem umieszczonych u wejścia świec, zabarwionych na fioletowo, niebiesko lub czerwono. I w tych uliczkach zmieszane z ludzkim krzykiem, śmiechem, szeptem zaproszeń, odmowy lub przyjęcia odzywały się dźwięki muzyki piskliwej i nużącej, wyzywającej, a zarazem pełnej smutku, tego dziwnego smutku pustyni i tęsknoty wśród piasków.

Stary arab, który był „hadzi“ przyniósł im kawy. Starnworth wyjął z kieszeni pudełko z tytoniem i zręcznie skreślił dwa papierosy.

(Dalszy ciąg nastąpi).